Nr. 25. Warszawa, dnia 7 (19) Czerwca 1872 roku. ROK VIII.

Seryja trzecia.

Cena prenumeraty:

W Warszawie:

rocznie rs. 3 kop.—
półrocznie „ 1 „ 50
kwartalnie „ 75
miesięcznie — „ 25

Na prowincyi.

rocznie rs. 4 kop. 80
półrocznie „ 2 „ 40

OPIEKUN DOMOWY.

PISMO TYGODNIOWE

sprawom wychowania, rzeczom społecznym, nauce, literaturze i sztuce poświęcone.

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w księgarni G. Centnerszwera ul. Marszałkowska Nr. 73; w *Poznaniu* u Leitgebera; we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza.

Biuro Redakcyi: w Warszawie, ulica Nowy Swiat Nr. 30 (nowy).

WYKSZTAŁCENIE PRZEMYSŁOWE.

Ze wszech stron naganiają nas do nauki i pracy; nad uszami naszemi rozlega się jeden prawie okrzyk: pracujmy i wzbogacajmy się! Rzeczywiście, pracujmy! Lecz w jakim głównie kierunku pracować mamy? Odpowiedzią na to będzie wykazanie warunków, w jakich żyjemy. Skoro się już raz przekonano, że *uczciwość*, *nauka*, *duch przedsiębiorczy* i *oszczędność* przyczyniają się do podniesienia dobrobytu i potęgi narodów, brak zaś tego wszystkiego jest nieodwołalnem dążeniem do upadku—w jakiemkolwiek przeto znajdujemy się położeniu, o ciągłe potęgowanie tych czterech podstaw istnienia ekonomicznego starać się powinniśmy. Co do uczciwości, tej w porównaniu z innem narodami posiadamy wcale niemało; nauka wdziera się powoli do coraz liczniejszych, warstw społecznych. Kierunkiem jakiby téj wspaniałéj mistrzyni dać należało, zajmie się nieraz pismo niniejsze w artykułach oddzielnych. W tej chwili z kwestyi kierunku naukowego poruszymy jedną tylko kwestyjkę; jej rozwiązanie szczęśliwe może się przyczynić do obudzenia *ducha przedsiębiorczego*, którego brak skazuje nas tak często na posiłkowanie się z musu, żywiołami wrogiemi. O oszczędności pomówimy z czytelnikami w innej rubryce *Opiekuna*.

Rozpatrując rzeczy ze stanowiska ekonomicznego, wszelka praca o tyle jest dobrą o ile przynosi dochód albo jak się dosyć powszechnie wyrażają o ile jest produkcyjną. Wytwór pracy wtedy tylko posiada wartość, jeżeli go ktoś żąda. Tak więc choćby najznakomitsze dzieło, wydrukowane w nadmiernéj liczbie egzemplarzy, musi iść w części na makulaturę—człowiek uporne obstający przy zawodzie krawieckim chociaż nikt już ilości odzienia większéj nad produkowaną spotrzebować nie może, musi umrzeć z głodu albo żebrać i t. d. To samo się dzieje ze wszystkiemi gałęziami pracy społecznej, fizycznej i umysłowéj. Ta ostatnia szczególniéj wielkiego stosunkowo wymagając nakładu niezawsze odpowiedni do wyłożonego kapitału przynosi dochód. Pomimo to zdarza się w niektórych społeczeństwach, a nasze pod tym względem nie stanowi wyjątku—że ilość ofiarowanej pracy umysłowej w stosunku do żądanéj jest za wielką, a takie zwócenie swoich zdolności na pole że się tak wyrazim, niepopłatne, jest uszczerbkiem dla jednostki i społeczeństwa. Wytłomaczmy się jaśniéj, bo wielu mogłoby nas posądzić, że występujemy przeciwko nauce, w kraju, gdzie jéj jeszcze tak wiele a wiele potrzeba. Lecz nie! My nie występujemy przeciwko nauce, chcemy, aby ona w kraju naszym rozszerzała się jak najbardziéj—ale pytanie jaka nauka? Jest faktem niezaprzeczonym, że wszyscy nie możemy posiadać stopni doktorskich i że kraj nie może zużytkować wielu jednostek wychowywanych dosyć długo kosztem ogólnym, aby póżniéj znowu je karmić bezpłatnie; nie ma bowiem dla nich odpowiednich zajęć. Słyszę w odpowiedzi na to twierdzenie, że ludzie jakkolwiek wysoko wykształceni, do rozmaitych zdarzających się robót brać się powinni i nie zważać, że się kształcili inaczéj. Bezwątpienia. Obowiązkiem jest ludzi uczciwych wszelkiemi sposobami się starać, aby nie żyć kosztem cudzej pracy, ale pytamy się, dlaczegoby kraj miał niepotrzebnie tracić mnóstwo pieniędzy na przygotowywanie sobie *ludzi nieprodukcyjnych* którzy do pierwszéj lepszéj roboty i bez wyższéj nauki zabrać się mogli? Po co? Nauki wyższej tamować wprawdzie nie należy, ale trzeba wszelką siłą się starać o rozpowszechnienie *nauk utylitarnych w zakresie elementarnym i średnim.* W naszym kraju szczególniéj, ze względu na zbieg różnych okoliczności, bardziéj jak w innym na to baczyć wypada, aby jego mieszkańcy głównie i przedewszystkiem dążyli do osiągnięcia niezależnego bytu materyjalnego. Ci więc tylko, w których piersi goreje święty zapał do wiedzy, których energija pozwala przypuszczać wytrzymałość na mozolne zdobywanie nauki, ci tylko mogliby mieć prawo do pomocy publicznéj w naukach wyższych. U nas dzieje się inaczéj, setki wyciągają ręce o wsparcie publiczne, żebrzą litości przez lat cztery lub więcéj a w końcu, w nagrodę za to wszystko dają społeczeństwu wysoką pretensyjonalność, która nam żadnego przecież nie przynosi pożytku. Stosunkowo do *potrzeb* kraju, na brak ludzi pobierających naukę wyższą, skarżyć się nie możemy. Przeciwnie, moglibyśmy raczéj zadać pytanie, co nam po młodzieży zapełniającéj audytoryja prawnicze, jeśli dla niéj odpowiedniego nie znajdziemy umieszczenia, co po miernych lekarzach, którzy całe lata biją się z biedą, aby tylko wyżyć; co

ŚLADY ŻYCIA.

XI.

Tyle życia, ile w czynie.

Z liczby nowych pism od początku r. b. u nas wychodzących, na baczniejszą niż dotąd ze strony ogółu uwagę zasługuje *Gazeta Przemysłowo-Rzemieślnicza*, któréj Redakcyja postawiła sobie za cel „starać się o rozkrzewienie pomiędzy naszymi fabrykantami, rzemieślnikami i robotnikami stosownego wykształcenia fachowego, o wskazanie najdogodniejszych i najłatwiejszych środków produkcyi" a czuwając ciągle nad postępem konkurencyi zagranicznej—„wskazywać co ona robi i czy nie umiemy temu zapobiedz i jakim sposobem." Ten ustęp z naczelnego artykułu umieszczonego w Nr. 1 G. P. R. wystarcza do wskazania, jak uczciwy i rozległy plan nakreśliło sobie pismo, — a dość przejrzeć kilka jego numerów, aby przekonać się, że o swym planie nie zapomina Redakcyja.

Obok krótkich wiadomości bądź o nowych wynalazkach, bądź o ulepszeniach gdzieindziéj poczynionych w przemyśle, znajdujemy w G. P. R. sprawozdania ze stanu różnych gałęzi miejscowego przemysłu, wiadomości o zakładach i instytucyjach krajowych i zagranicznych, mających na celu obok coraz wyższego rozwoju téj strony działalności ludzkiéj, dobrobyt i oświatę klass pracujących. Nie tu miejsce szczegółowo zastanawiać się nad pojedynczemi artykułami, choć wiele z nich jak te, które rozbierały kwestyję kształcenia młodzieży rzemieślniczéj, warunki pomyślnego rozwoju naszego przemysłu i inne treści ogólniejszéj pełne zacnych i praktycznych myśli, zasługiwałyby na obszerniejszą wzmiankę.

Ze smutkiem jednak zaznaczyć musimy, że pismo będące bardzo poważnym objawem na nowo budzącego się u nas życia—nie wielu ma czytelników, a najmniéj podobno w klasie przemysłowców i rzemieślników, dla których jest przeznaczonem. Fakt ten, którego główna przyczyna leży w braku oświaty między ogółem naszych rzemieślników, dałby się choć w części usunąć, przez wprowadzenie w piśmie pewnych zmian, koniecznych zdaniem naszem, dla dalszéj pomyślności G. P. R. i jéj wpływu na przemysłowe interesa kraju. Najpierwszą ze zmian, o których mowa, byłoby wprowadzenie do pisma treści lżejszéj jak: odpowiednich powieści tendencyjnych, życiorysów, podróży i tym podobnych artykułów łączących naukę z rozrywką, z drugiéj strony pożądanemi byłyby popularne lecz systematyczne wykłady z fizyki, chemii, mechaniki, ekonomii, higieny domowéj, przedmiotów tych bowiem rzemieślnicy nasi nie znają, a znać je powinni. Wreszcie należałoby dać więcéj miejsca opisom pojedynczych gałęzi przemysłu takim jak: *Poradnik praktyczny dla mechaników* w Nr 22—ogłoszeniom o miejscowościach w których brak dobrych rzemieślników i o osobach poszukujących zajęcia. Bardzo jest naturalnem, że wprowadzenie lub rozszerzenie działów o których mowa, musiałoby spowodować zwiększenie formatu pisma, niepodobna bowiem radzić aby którakolwiek z dotychczasowyah rubryk została wyrzuconą, naszem zdaniem jednak nowy ten wydatek korzystnie na pomyślność pisma oddziałaćby powinien. Do Redakcyi G. P. R. należy osądzić, o ile proponowane przez nas zmiany mogą być zaprowadzone w piśmie dla którego czujemy żywą sympa-

po matematykach i fizykach obejmujących posady buchalterów, co po filologach goniących za pierwszą lepszą posadą prywatnego oficyjalisty? Pół biedy jeszcze gdyby ci ludzie zabierali się z ochotą do pracy jakiejkolwiek, w takim razie złe polegałoby na niepotrzebnem zmarnowaniu pewnéj liczby lat i utracie kapitału na kształcenie. Lecz przecież wiadomo powszechnie, że do pracy ciężkiej ludzie podobni niełatwo się zabierają, tembardziej, iż oczywiście, przygotowania odpowiedniego nie mają. I tutaj możnaby przytoczyć tylokrotnie powtarzane zdanie, że fałszywe pojęcie o znaczeniu pracy w społeczeństwie i brak poczucia *prawdziwych potrzeb* kraju powoduje smutny stan rzeczy. Nie mamy dokładnych cyfr statystycznych, aby na ich podstawie wyprowadzić stosunek uczącéj się młodzieży w *najwyższych zakładach*, do téj, jakiejby nam potrzeba na polu praktycznem. W każdym razie tyle wiadomo, że liczba pierwszéj jest nieproporcyjonalną, że zaniedbano niesłychanie ważnéj gałęzi nauk przemysłowych, których znajomość uwolniłaby nas od niejednéj klęski ekonomicznéj. Człowiek dziedziczący np. po ojcu rolę, uczy się prawa. Nie protestowalibyśmy przeciwko badaniu prawodawstwa, gdyby ci *dziedzice* przedewszystkiem poznali rolnictwo. W szkołach rolniczych nauka prawa uwzględnianą być winna, ale aby ludzie mający kierować gospodarstwem rolnem cztery lub pięć lat ślęczeli nad prawem, to się zdrowemu sprzeciwia rozsądkowi. Gdyby trzy czwarte naszych prawników, których połowa pochodzi od ojców—rolników, poświęciło się zajęciom produkcyjniejszym, gospodarstwa nasze odmienny by od tego przedstawiały widok i nie patrzylibyśmy na kilkuset aplikantów wzdychających do nędznie płatnych posadek. Synowie rolników, po skończeniu prawniczego wydziału, powracają do domu i do gospodarki się biorą nie mając żadnego prawie wyobrażenia o naukach niezbędnie rolnikowi potrzebnych. Gdyby za te same pieniądze pojechali do akademii rolniczych, ileżby to korzyści kraj cały stąd odniósł? Gdyby tylko trzydziestu rok rocznie powracało do domu z wiedzą rolniczą i co rok trzydzieści gospodarstw racyjonalnie zaczęto prowadzić, ilużto sąsiadów zaczęłoby naśladować swych *prawdziwie* pożytecznych braci? Interes własny, widoczny, dotykalny przykład bogactw, będących następstwem nauk specyjalnych, dokonałby reszty. Zabawka naukowa, na któréj lat kilka się spędza, jest do przebaczenia naszym sąsiadom zachodnim, którzy mają setki wzorowych szkół specyjalnych i mnóstwo z nich ludzi, tak dzielnie się przyczyniających do wzrostu bogactwa narodowego. Nam zaś tracić nie wolno ani jednej chwili czasu, ani jednego rubla. Po co nam astronomowie bez zajęcia, po co prawnicy, filologowie i inni szukający miejsc do *szczególnych poruczeń*? Dlaczego każdy z nas musi być zdolny do wszystkiego, dlaczego się nie rozspecyjalizować i to w kierunku dla kraju najpożyteczniejszym. I podczas kiedy my oddajemy się studyjowaniu mechaniki niebieskiej lub rzymskich pandektów, nasze fabryki są przepełnione i *kierownikami* i robotnikami z ziemi niemieckiej, w naszym handlu powszechnie przeważa szwargot niemiecki,— w naszych rozmaitych zakładach handlowych i przemysłowych często się po swojemu rozmówić nie można. Nasi dyrektorowie fabryk sprowadzani z pośród potomków Arminiusza radziby zaraz przywieść ze sobą całą koloniją niemiecką. Wiemy o jednym wypadku w którym dyrektor zamówiony z zagranicy do fabryki krajowej, pytał się, czy mu pozwalają przywieść ze sobą cieśli, mularzy, bednarzy, pokrywaczy dachów i t. d., i t. d. Oburzająca bezczelność niemiecka, dowodząca zarazem, jakie wyobrażenie mają sąsiedzi o ekonomicznym stanie kraju naszego. To ich wyobrażenie jest bez wątpienia przesadzone, ale po części uzasadnione naszem niewytłumaczonem lenistwem i niepojmowaniem swojego dobra.

Ogromna większość młodzieży dobrze uczyni, gdy się ograniczy na odbywaniu studyjów specyjalnych teoretyczno-praktycznych gdy połączy średnią choćby naukę ze szczegółowem znawstwem jakiejkolwiek specyjalności praktycznej. Przysporzy to wiele korzyści krajowi, którego wszyscy mieszkańcy pamiętać winni, że niemieccy sąsiedzi krzyczą na całe gardło: *Drang nach Osten!* i że z tego *Osten* chcą nas wyprzeć przemysłem i handlem, że najznakomitsi przedstawiciele niemieckiego ludu powiedzieli kiedyś wizbie, *iż ziemia którą pług niemiecki raz choćby przeorał, nie jest już słowiańską jeno niemiecką*,— że w naszych fabrykach przeważna liczba dyrektorów niemieckiego jest pochodzenia, że my z robotnika niemieckiego bardziej jak z własnego jesteśmy zadowoleni. Aby jednak dojść do rezultatów pomyślnych i zdziałać zupełną reformę w naszym przemyśle i handlu, trzebaby wychowanie w kilku przynajmniéj szkołach uczynić praktyczniejszem. Praktyczność zaś w wychowaniu i koniecznie zatem idąca produkcyjność obranego zawodu nie powinny już dzisiaj spotkać tyle zarzutów, ilebyśmy się dawniéj spodziewać mogli; bo przekonaliśmy się już chyba, że lepiej jest rurki szklane, krany, najdrobniesze szrubki i gwoździe fabrykować w kraju, aniżeli je z zagranicy sprowadzać, że przyjemniéj a nadewszystko rozumniéj jest posiadać rachunki od kupców i przemysłowców w języku dla siebie zrozumiałym, aniżeli być obciążonym rozmaitemi *rechnung'ami*, podawanemi przez ręce nienawistne.

Zdaje nam się, że z powyższego nietrudno wywnioskować, iż warunkami, w których z całą swobodą rozwijać się możemy, są warunki ekonomiczne. Ku nim też usilność swą przeważnie zwrócić powinniśmy. Potrzeba nam naturalnie wykształcenia przemysłowego, bo inaczéj wszystkie wołania o wyparcie niemców z krajowego przemysłu i handlu będą daremnemi. W królestwie posiadamy tylko instytut w Puławach, wyższą szkołę rzemieślniczą w Łodzi, szkoły bowiem niedzielno-rzemieślnicze i szkoła handlowa, nie odpowiadają nazwom, jakie noszą. Tego oczywiście za mało. Jeżeli do wyższych zakładów specyjalnych wysyłanie zagranicę jest jeszcze możliwym, niepodobnem jest natomiast, gdy idzie o wykształcenie przemysłowe średnie. Trzeba więc postarać się o założenie kilku specyjalnych szkół średnich, któreby nam przygotowały całą falangę zdolnych przemysłowców i kupców. Usiłowania w tym duchu pozostawione być muszą inicyjatywie prywatnéj; dzięki téj ostatniéj powstała niedawno szkoła, która dziś liczy kilkuset uczniów. Zasługa jéj taka, że możeby tych kilkaset chłopców wcale do szkół nie uczęszczało, ponieważ ich rodzice podlegali przesądom co do oddawania ich do szkół ogólnych. Czyby zaryją i które gorąco uwadze naszych czytelników zalecamy.

* * *

W przedostatnim numerze „Przeglądu Tygodniowego, Redakcyja podaje program dawniej już ogólnikowo zapowiedzianego wydawnictwa *pięćdziesięciu tomów za pięć rubli*. Wydawnictwo to wyłącznie dla prenumeratorów Przeglądu przedsięwzięte, obejmie książki naukowe, powieści, podróże, utwory popularne dla ludu i dla dzieci. O ile nam wiadomo tomiki o których mowa będą posiadały wielkość obecnych miesięcznych do Przeglądu dodatków, co przy ścisłym druku stanowi wcale znaczną objętość. Jakkolwiek mamy nadzieję że ogół nasz nieodmówi poparcia pożytecznemu temu wydawnictwu, wątpimy jednak czy Redakcyja zdoła przy tak niskiej cenie, doprowadzić do skutku wydanie dzieł wielkich, takich np. jak „Historyja Nauk Indukcyjnych Whewela". W każdym razie cieszylibyśmy się gdyby między innemi i to dzieło wydane być mogło. Jak wnosimy z zapowiedzianych dotychczas książek, Redakcyja zakreśliła sobie plan prawie nieograniczony, tak pod względem tendencyi dzieł jak i formy takowych znajdujemy w nim bowiem Rémusata obok Vogta, dzieła ściśle naukowe, obok najpopularniejszych — z tego też względu a głównie dla braku oceny krytycznej przy znacznem uwzględnianiu kierunków krańcowych (Molechott, Vogt) wydawnictwo to niemoże zastąpić wyłącznie *pozytywnych* przewodników, a do tego krytycznie opracowanych i dopełnionych, które według podanej już w zeszłym numerze naszego pisma wzmianki, łącznie z Redakcyją *Niwy* wydać zamierzamy pod ogólnym tytułem: *„Biblijoteka Filozofii Pozytywnej."* Życzymy Redakcyi *Przeglądu* gorącego poparcia naszej publiczności —bez którego tak kosztowne pod względem nakładu, a tak tanie ze względu na cenę wydawnictwo utrzymaćby się nie mogło. Co do nas, główną wagę przywiązujemy do owych najceleniejszych broszur i dzieł przeznaczonych dla ludu, i radzibyśmy ażeby ta strona wydawnictwa, najodpowiedniejsza dla niskiej jego ceny, obszernie i starannie uwzględnioną została.

* * *

W sprawie zapowiedzianej przez nas „Biblijoteki Filozofii Pozytywnej" odebraliśmy list w którym autor żąda ażeby żadnego z dzieł nie podawać w skróceniu i dodaje: „wszyscy prenumeratorowie zgodzą się więcej dopłacić aby tylko mieć całość, zamiast skróceń". Podzielając w zupełności zdanie Sz. Korespondenta, dodamy że żądanie jego wynikło tylko z nieporozumienia, którego powodem było ogólnikowe nasze ogłoszenie. Nie będziemy naruszać całości żadnego z dzieł które wydać zamierzamy przeciwnie każde z nich uzupełnimy i rozszerzymy pracami innych badaczów. Ale takie właśnie dopełnianie wymagać będzie streszczeń umieszczonych w dopiskach wtedy mianowicie gdy z kilku książek jednakiej treści i tendencyi wybierzemy najlepszą i takową jeszcze na mocy innych prac dopełniać będziemy.

* * *

Czytamy w *Kuryjerze Codziennym*: „Do jednego z handlów materyjałów piśmiennych, przybyło temi dniami małe dziewczątko, bardziéj niż skromnie, bo nawet ubogo, ale chędogo odziane, lat około 12-tu i zażądało kajetów. Podano towar żądany. „O! ja proszę o glansowane." „Oto są, ale znacznie droższe.:." „Cóż stąd —rzekła dziewczynka z westchnieniem—kiedy nie można pisać na innych, bo panna guwernantka wyraźnie zapowiedziała, żeby koniecznie na glansowanych..." Kupiec, człowiek sumienny, zwracając się do mnie, rzekł z cicha: „Uważaj pan czego tu jeszcze zażąda..." Jakoż wybrawszy kajety, dziewczynka kupiła jeszcze różnokolorowéj bibułki angielskiéj i gumowanych chromolitograficznie wykonanych pieczątek.

łożyciele np. téj szkoły, nie zechcieli pomyśleć i o szkole przemysłowéj, albo czyby się nie dało jednéj lub kilku ze szkół prywatnych zreformować na szkołę teoretyczno-praktyczną? Dobry pod tym względem przykład dał nam świeżo naród stojący najwyżéj pod względem wykształcenia praktycznego, naród, który przytem najgoręcéj pojął potrzebę oświaty. Przypomina on nam wielką prawdę, że nauka wyższa rozszerza bezzaprzeczenia naszą wiedzę, ale dopiero w *połączeniu z pracą* daje *bogactwo*. Mówimy o amerykanach. Kwestyja wykształcenia jak najpraktyczniejszego silnie tam zajmuje wszystkie umysły szlachetniéj myślące. Amerykanie umieją rozumnie wziąść się do rzeczy; chcieli pogodzić teoryją naukową ze *współcześnie* odbywaną praktyką. Początkowe usiłowania dokonywane wedle planu niesystematycznego, nie wydały wprawdzie rezultatów świetnych, bo też i zadanie jest trudne. Chodzi tu bowiem o nauczenie dziecka jakiegokolwiek rzemiosła lub przemysłu przy jednoczesnem kształceniu intelektualnem. Pomimo trudności, w Pensylwacie udało się przez racyjonalny system nauczyć dzieci początkowych wiadomości i jednocześnie podać im wskazówki praktyczne w rolnictwie, ogrodnictwie, szewctwie, drukarstwie i t. d. Do piękniejszych jeszcze rezultatów doszli kierownicy instytutu *Lincoln'a* w Filadelfiii. Do lat dwunastu trwa tam kształcenie naukowe elementarne, poczem rozpoczyna się kształcenie przemysłowe, ale wykład szkolny nie ustaje. Szczególniéj się uwzględnia fizyczne i intelektualne uzdolnienie wychowańca do zawodu, do którego okazuje skłonność. Przygotowują tam chłopców do warsztatów, fabryk, biór rządowych, składów towarów, banków i t. d. stosownie do wieku i zdolności, do których jest także zastosowana *prędkość* kształcenia. (Niech o tém pamiętają, dodamy nawiasem, nasi pedagogowie, którzy by radzi do wszystkich jednę miarę stosować). Intelektualne wychowanie nic na tém nie cierpi, bo w późniejszym nawet wieku, wyborne szkoły wieczorne pozwalają młodzieży uzupełnić wychowanie umysłowe. Dobroć teoryi przyjętéj przez kierowników instytutu Lincoln'a w najświetniejszy sposób stwierdzoną została na ostatnich egzaminach. Chłopcy składali *opisy robót* przez nich wykonanych. Prędkie i rozumne odpowiedzi oraz opisy rozmaitych przyrządów przemysłowych, stanowią dowód, że uczniowie tamtejsi rozumieli praktyczne znaczenie swojéj pracy. Zauważono także, że wychowańcy najdaléj posunięci w robotach przemysłowych, największe zarazem okazali postępy w naukach. Gdyby próby dokonane w innych zakładach do podobnych doprowadziły rezultatów,—przemawiałoby to bardzo za połączeniem w przyszłości dwu metod wychowania: teoretycznego i praktycznego. Ucząc się, łatwo przychodzą wtedy do przekonania, że jedna metoda bez drugiéj nie jest wystarczającą, a każda z tych metod prowadzi ich do uznania konieczności drugiéj. Sięgnęliśmy aż do Ameryki, nie dlatego, abyśmy sądzili, że u nas się kto weźmie natychmiast do naśladowania genijalnych yankes'ów ale dla tego, aby zwrócić uwagę na olbrzymią doniosłość wychowania przemysłowego, nadto, jak pożądaną jest równowaga, jak naglącą jest rzeczą zabrać się do nauk technicznych i jak to źle, że pozwalamy niemcom wydzierać sobie należny nam na téj ziemi kawałek chleba. Na początek chcemy, aby założono jakąkolwiek choćby szkółkę przemysłową, dla któréj nietrudno program nakreślić ze wzorów zagranicznych. Z czasem zaś można sprobować systemu, który w Ameryce powiódł się tak świetnie. Bez szkół odpowiednich nie dorównamy nigdy sąsiadom, aby zaś nie pozwolić się tem wyzyskiwać nie trzeba tracić czasu. Ci, co się zajmują tworzeniem rozmaitych projektów ogólnego pożytku, powinniby pomyśleć o założeniu prywatnych szkółek technicznych. Może wtedy przestaniemy utyskiwać na brak ludzi specyjalnie wykształconych, może za to kiedyś dyrektorowie naszych fabryk zamiast *Neue freie Presse* (słowianożerczéj gazety) będą prenumerowali *Gazetę Polską*.

Z MELODYJ BIBLIJNYCH

Kornela Ujejskiego.

HAGAR NA PUSZCZY.

> Wstał tedy Abraham rano wziąwszy chleb i bukłak wody włożył na plecy jéj i oddał jéj dziecię i odprawił ją, która poszedłszy błądziła w puszczy Betsabee....
> A gdy nie stało wody w bukłaku....
> *Genesis Roz. XXI.*

Od słońca pożaru zczerniała mi głowa,
A w koło pustynia;—do ciebie Jehowa
Podnoszę płaczący mój głos.
Spraw panie! by niebo nademną wychłódło,
I skały granitu zmień panie na źródło,
A piasek czerwony na wrzos.

I nigdyż Jehowa! i nigdyż do zgonu
Nie ujrzę już dolin kwiecistych Hebronu,
Ni pana mojego, ni ród?
I nigdyż już nigdy, choć wyjdę z żywotem,
Nie usnę pieszczona pod jego namiotem,
Ni nocą wybiegnę do trzód?

Nam szaty od skwaru opadły w kawałach,
I rzemień popękał na naszych sandałach,
I cierpi i płacze mój syn.
Jam panie kochała i była kochaną,
Szczęśliwą,—to słusznie, że jestem karaną,
Lecz syn mój Ismael—bez win.

Gdy wicher ogniowy po puszczy zawieje,
I żarnym popiołem gdy po nas posieje,
Ismael opada jak kwiat,
Ja tobie o panie! natenczas się kłaniam,
I syna mém ciałem przed wiatrem osłaniam
I chłodzę szmatami mych szat.

I nieraz czuwając gdy zdrzymię na piasku,
Przebudzam się trwożna śród nocy i wrzasku,
Dławionéj Gazelli to wrzask,
A w koło szakale oczyma mi świecą,
I wyjąc uchodzą, bo myślą: żem lwicą:
Tak z ócz mych rozpaczy gra blask.

I nieraz na białym skielecie wielbłąda
Zczajona twarz ludzka źle ku nam pogląda,
Błędnego wędrowca to trup.
I nieraz sęp głodny zawiśnie nad nami,
A potém w mój zawój uderzy skrzydłami
I drugim zakracze na łup.

Cały ten sprawunek mógł wynosić około 20 kopiejek. Mała zapłaciła i poszła, a właściciel handlu odezwał się do mnie: „Rzecz to na pozor bagatelna, a jednak przy dzisiejszéj ogólnéj biedzie i taki wydatek przez rok, sporo obciąży rubrykę rozchodów, mianowicie u rodziców ubogich, odejmujących sobie od ust, aby łożyć na wychowanie dzieci uczęszczających na pensyją. Dawniéj chodząc do szkoły, pisaliśmy na papierze zwyczajnym, nie białym, a o glansowanym tośmy nawet i nie słyszeli, i było dobrze, a dziś guwernantki wymagają od uczennic piszących dopiero kreski we wstępnéj klasie, aby kajet był *koniecznie z glansowanego papieru*, aby była w nim bibułka na wstążeczce przylepionéj ozdobnemi pieczątkami, a nadto aby obłożony był w *glansowany zielony papier*, dla niezbrudzenia wykwintnych okładek i t. p. Słowem, wierzaj mi pan,—mówił z pewnym rodzajem oburzenia—te wszystkie niepotrzebne wymysły, wymagają w końcu roku tyle, że za to mogłoby biedne dziecko mieć cieplejszy płaszczyk na zimę!"—Ma racyją!.."

* * *

W Nr. 47 *Wieńca* ukończoną została rozprawa p. *Kaszewskiego*, ciągnąca się już od Nr. 37 p. n.: *Genesis komedyi dzisiejszéj*. Główna jéj treść zawiera się w przedstawieniu tak zwanéj *nowéj* Komedyi attyckiéj, któréj najznakomitszym przedstawicielem był *Menander*, żyjący w drugiéj połowie IV wieku przed narodzeniem Chrystusa. Byłto autor bardzo płodny i bardzo wpływowy; szczególniéj w późniejszych utworach tego rodzaju w Rzymie. Plaut i Terencyjusz, sławni komedyjopisarze rzymscy bardzo wiele postaci brali żywcem z komedyj Menandra, do naszych atoli czasów nie doszła ani *jedna całkowita* jego sztuka; pozostały tylko dość liczne ułamki, z których Wilhelm Guizot usiłował odbudować całość artystyczną jednéj przynajmniéj komedyi p. n. *Plokion*. P. Kaszewski korzystając z jego pracy przedstawił jéj treść, a następnie z urywków starał się określić charakter poglądów Menandra na życie społeczne we wszystkich jego objawach; i znalazł w nim nadzwyczaj wielkie podobieństwo w maksymach moralnych—do zasad wygłoszonych późniéj przez chrześcijaństwo. Za pośrednictwem łaciny, sztuki Menandra dostały do się literatur europejskich w XVI wieku, kiedy porzucono średniowieczne mysteryja, moralités, sotties, i t. p. a zwrócono oczy ku dziełom klasycznéj starożytności. Szekspir, Molière i ich spółcześni korzystali z Plauta i Terencyjusza, którzy jak wiemy, kopijowali tylko greckiego komedyjopisarza; i tym sposobem komedyja nowsza połączyła się nierozerwanym węzłem tradycyi literackiéj z komedyją starożytną. Formę artystyczną dała nam przeszłość myśmy zaledwie dojrzalne wprowadzili do niéj zmiany; ale za to w poglądach, w zręczności, w dowcipie i wyrobieniu pojęć—widzimy postęp ogromny. Łupina ta sama—ale owoc zdrowszy i potężniejszy.

* * *

W tymże piśmie w Nr. 44—46 czytamy artykuł p. *Augusta Jeskiego*: *Kwestyja oświaty klas przemysłowych*. Autor zwraca tu uwagę na fakt wszystkim dobrze znany, że tak zwani uczniowie tracą u rzemieślników i fabrykantów najpiękniejsze lata na wysługiwaniu się, na zamiataniu kuchni i przynoszeniu pieprzu dla pani pryncypałowéj; że z 5 lub 6 lat wymaganych przez majstrów dla zostania czeladnikiem, chłopiec co najmniéj trzy lata niczego się nie uczy; że majstrowie nie pokazują, nie wykładają swéj sztuki uczniom, ale pozostawiają ich własnemu sprytowi lub dobréj woli czeladnika; że chłopcy uczą się co najwyżéj do lat 12, że szkoły niedzielne z powodu zbyt odległego terminu a przez to krótkości czasu przeznaczonego na naukę, chybiają swego celu. Wiadomą jest rzeczą, że bez nauki, bez wyrobienia charakteru nie może być mowy o sumienności, o uczciwości i akuratności w wykonaniu roboty; że bez rozwi-

I nieraz gdy uśnie ja niosę.... O Boże!
Ismael się zachwiał—iść daléj nie może,
Jak trzcina przechyla się z nóg,
I usta otworzył—o panie! on pragnie,
O panie! twa łaska niech ku mnie się nagnie
Tyś wielki; tyś mocny, tyś Bóg!—

Jehowa! Jehowa! on krzyknął, on pada,
I usta spalone do ust mych przykłada,
A żar z nich wyciąga miast tchu.
Przed głosem, przed moim, czyś zaparł niebiosy?
Jehowa! Jehowa! och wody, och rosy,
Kropelkę, kropelkę choć dżdżu!

DRUGA MIŁOŚĆ

POWIEŚĆ

JULII KAVANAGH.

Tom II.

(Dalszy ciąg).

Mówiła to zupełnie chłodnym tonem. Kennedy ochłódł także jakby dotknięty różczką czarodziejską. Miał co innego na myśli, nie lekką wojnę na słowa.

— Pani de Loinville otrzymała list bezimienny dziś rano,—rzekł kto go pisał?

— Zapytaj się jéj o to.

— List bezimienny jest niegodziwą podłością— czy tak sądzisz, o tem moja pani?

Spojrzał bystro na żonę, ale twarda była na takie spojrzenie i takie słowa—odpowiedziała chłodno.

— Nie lubię ogólników, panie Kennedy.

— Tyś go napisała, moja pani.

— Niebył przygotowany na jéj wzgardliwą odpowiedź.

— Tak, ja, mój panie.

— Nie, nieuczyniłaś tego! krzyknął tupając,—ale zrobiłaś daleko gorzéj, poleciłaś temu nikczemnemu hołyszowi, twojemu bratu, żeby napisał. Użyłaś kogo innego do tego, czegoś sama nieśmiała.

Teraz pocisk ją dosięgnął. Zbladła jak ściana.

— Panie Kennedy — rzekła — wyrażasz się niegodnie. Zarzucasz mi że napisałam list bezimienny, a kiedy dla dogodzenia ci, powiadam że to zrobiłam,, rzucasz mi teraz obelgę. Niezniosę żeby mi ubliżano w obecności tego człowieka.

Wstała i posunęła się ku drzwiom, mąż jéj zamknął drzwi i schował klucz do kieszeni.

— Edwardzie, — rzekł — gdzie ten list.

Dermot wstał i podał mu list rozpieczętowany. Kennedy ze swojego pugilaresu wydobył list który odebrała panna Glyn i zestawiając je jeden obok drugiego, pod oczy pani Kennedy, rzekł z goryczą.

— Widzisz te dwa listy — jeden jest bezimienną potwarzą, napisaną kilka tygodni temu, drugi napisany i podpisany onegdaj przez Reginalda Cains. Czy jest jaka różnica między niemi?

Patrzyła nie na listy ale na tych dwóch ludzi którzy się przeciw niéj połączyli, a w wzroku jéj malowała się złość niewypowiedziana. Ale przyparta była do muru, należało być zuchwałą aż do ostatka.

— Z czyjego polecenia pisany był list bezimienny?—zapytał Kennedy. Jeden posłany do panny Glyn, niewiele zrobił złego; ale drugi, wrzucony dziś rano do mieszkania tego koczkodona, pani Loinville obiega teraz całe miasteczko. Widzieliśmy jego skutek przed godziną. Z czyjego polecenia pisany?

— Z mojego — rzekła tryumfującym tonem; — rozumie się, z mojego. Dałby nie wiedzieć co za to, żeby jéj mógł niewierzyć, ale trudno było. Jego to zgubę wypowiedziały jéj usta tak lekkim sposobem i nie mógł nieczuć że to prawda.

Spojrzał na nią w niemym gniewie. W jakiż sposób mógł pomścić tę krzywdę bezlitości wykonaną?

— Tak więc — rzekł nareszcie — ożeniłem się z tobą, wydobyłem cię z ubóstwa, a za to takie mam dzięki, taką nagrodę.

— Nie gadaj niedorzeczności, panie Kennedy—rzekła wzgardliwie, byłam uboga, ale byłam młoda, a zdaje się że nie jesteś i taki bogaty, koniec końców.

— Niechtam będzie jak chce — krzyknął, wpadając znowu, w wściekłość, — jaką miałaś pobudkę do pisania bezimiennych listów i do szerzenia potwarzy.

Po raz pierwszy przemówił Dermot,

— Pobudką dla pani Kennedy — rzekł chłodno — jak wiesz dobrze, Jakóbie, była chęć zniesławienia męża Sybilli i właściciele la Saint-Vincent.

Niebieskie oczy pani Kennedy zabłysnęły, usta zadrgały; spojrzała na swego nieprzyjaciela tak zjadliwym wzrokiem, że skryta zazdrość Kennedego skonała raz na zawsze. Nie ma wątpliwości, okropnie nienawidzi tego człowieka stojącego teraz obok. Ale przekonanie to zapóźno przyszło iżby go mogło ucieszyć. Nienawiść ta kosztowała go za drogo—drożéj niżby pan Kennedy chciał płacić za wierność jakiejkolwiek kobiety.

— Cóż więcej macie mi jeszcze oba powiedzieć—zapytała zuchwale—i cóżeście mi dowiedli? — nic. To nie mój brat pisał; nieznam tych listów—wypieram się ich!

— Jest jeszcze trzeci list — rzekł Kennedy — sfałszowany w zamiarze wysłania Dermota do Kanady.

Śmiertelna bladość okryła twarz pani Kennedy. Więc ten człowiek razem z jéj mężem mieli ją ciągle w obserwacyi. Dozwolili jéj dążyć do zguby, i woleli raczej wszystko narazić, niż powstrzymać ją w jéj czynach, a co dotkliwsze jeszcze, ona była zaślepioną, podczas gdy oni obadwa czujni byli, widzieli jasno. Czuła się pokonaną, ale starała się jeszcze nadrabiać wzrokiem i postawą.

— Pani Kennedy! — rzekł Dermot chłodno, biorąc z rąk Kennedego dwa listy. Niech tego będzie dosyć na ten raz. Przez wzgląd na małżonka pani, nieposunę się dalej. Jeżeli jeszcze kiedy wmieszasz się pani do moich interesów — żadnej względności mieć nie będę.

— Nie żądam jej wcale — odpowiedziała z spokojną wzgardą — spiknęliście się przeciwko mnie, a ja nielękam się was obydwóch.

Skinęła im głową i skierowała się ku drzwiom. Były jeszcze zamknięte; spojrzała na męża i zawołała rozkazującym tonem:

— Proszę drzwi otworzyć.

Otworzył według jej woli. Przeszła wyniośle mimo niego, zamiatając podłogę ogonem i udała się do swego pokoju. Zatrzymała się u drzwi spoglądając na córkę i jej męża. Sybilla stała przy Dermocie, oparła ręce na jego ramieniu i smutnie spoglądała mu w twarz; podczas gdy on z milczącą czułością wzrok w nią zatopił, Kennedy z niechęcią rzucił na nich okiem. Zdawało się dopiero kilka dni te-

---

nięcia umysłu niepodobna wpaść na nowy pomysł, na nowe ulepszenie, któreby oszczędzając czasu i pracy mogło przyczynić się do obniżenia ceny danego przedmiotu i t. p. P. Jeske nie widząc na to możliwéj natychmiastowo reformy z gruntu, radzi, ażeby przynajmniéj prycypałowie postarali się o częstsze posyłanie chłopców do jakiejkolwiek szkółki, wyznaczając odpowiedni czas do należytego przygotowania się do nauki; dalej woła o reformę szkół wiejskich o otworzenie przy nich dwu nowych kursów dla dojrzalszéj już młodzieży rzemieślniczéj i t. p. Nie wdając się w krytykę proponowanych zmian, które najlepiéj ocenićby się dały w przeprowadzeniu praktycznem, łączymy swój głos do pp. majstrów, ażeby zechcieli zrobić cośkolwiek i dla dobra publicznego, dla dobra tych dzieci, które mają w przyszłości zająć ich miejsce, ażeby starali się jak najwięcéj wpuścić światła do głów swojéj opiece powierzanych, gdyż oświata tylko i za nią idąca rządność, pracowitość mogą podnieść nasz przemysł.

* * *

W zeszłą Niedzielę w sali posiedzeń Magistratu miasta Warszawy — miało miejsce pierwsze roczne zdanie sprawy, z działań Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. Pomimo niedogodnej pory południowej i rzęsistego deszczu—publiczność dosyć się licznie zebrała, a pomiędzy słuchaczami i płeć piękna miała swe przedstawicielki. Zastępując nieobecnego Radcę Tajnego Mianowskiego—posiedzenie zagaił Vice prezes Towarzystwa p. Wieczorkowski, poczém odczytanym został ogólny historyczny pogląd na rozwój podobnych instytucyi za granicą i w Cesarstwie—ze zwróceniem szczególnéj uwagi na płynące stąd dla sprawy społecznej korzyści—i na gorące poparcie ogółu jakiego wszędzie doznają podobne przytułki. Głos jaki zabrał z kolei członek Towarzystwa Dyrektor Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych p. Papłoński dotykał już samej istoty rzeczy. P. Papłoński mówił o tém—co własne nasze Towarzystwo w ciągu krótkiego istnienia swego zrobić zdołało. Tak więc objaśniwszy naprzód—że na założenie osad rolnych—władze krajowe ofiarowały Towarzystwu dwa wyręby leśne—jeden pod Skierniewicami a drugi pod miastem powiatowem Turek,—że ten drugi nie odpowiada przeznaczeniu—i że zatém o zamianę go na inny poczyniono już starania, przeszedł mówca do tego, bez czego przy najlepszych chęciach nigdy nic zdziałać nie można... *do funduszów Towarzystwa.* Otóż fundusze te, to smutna strona medalu. Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych—towarzystwo mające na celu podźwignięcie z moralnego upadku nieletnich—przez brak opieki—przez zaniedbane wychowanie, pogrążonych w zepsuciu i nędzy, wtedy ty ko stać się może gdy przez ogół cały pojęte, a więc poparte zostanie. Poparcia tego brak dotąd niestety naszemu Towarzystwu. Z pomiędzy 20 członków założycieli, kilku dotąd jeszcze wkładów swoich nie wniosło; na członków honorowych których liczba nie jest ograniczona ustawą—zapisało się ledwie *czterysta kilkadziesiąt osób* a z tych *sto sześćdziesiąt kilka* niezłożyło składek po rs. *sześć* rocznie wynoszących. Podzielamy wprawdzie zdanie p. Papłońskiego że opóźnienie łatwo można naprawić—wierzymy nawet że nikt z zapisanych członków nie cofnie się przed uiszczeniem składki—ale wiemy znowu że *bis dat qui cito dat*, a na pośpiechu, w początkach zwłaszcza, zwykle bardzo zależy. Ogół tedy dziś przez Towarzystwo posiadanych funduszów łącznie już z ofiarami prywatnemi, kilkunastu czy bodaj kilku ledwie osób—wynosi około 6000 rs. Jestto bardzo i bardzo mało bo na urządzenie pierwszej modelowej osady—znakomicie większych potrzeba nakładów. Czyżby w kraju naszym nie znalazło się się dosyć ludzi dobrej woli—gotowych poprzeć to co ze wszech miar godnem jest gorącego poparcia. Czyżby w sercu każdego uczciwego ojca

mu, gdy i on był zakochany w młodej, pięknej kobiecie — i czemże się skończyła ta miłość? — czem skończy się miłość między jego córką a przyjacielem? Czy i oni będą kiedyś dziwić się obecnemu szałowi i przeklinać go może? Mniejsza z tem, dziś już niedbał o nię, i wyszedł z pokoju z miną kwaśną i ponurą.

Boleść którą Sybilla tak długo tłumiła, wybuchnęła teraz, gdy jej ojciec drzwi zamknął za sobą. Popłynęły jej łzy zmartwienia i oburzenia, czuła bowiem dotkliwie obelgę zadaną swemu mężowi i wiedziała że ona to głównie ściągnęła ją na jego głowę. Z jej to przyczyny tak go znienawidziła Blanka Cains, z jej przyczyny przeszedł teraz przez ogniową próbę niesławy—wprawdzie z męzką cierpliwością, ale i z męskiem poczuciem doznanej krzywdy. Siadł i pociągnąwszy ją ku sobie, starał się ją uspokoić.

— O! Edwardzie, — błagała — uciekajmy ztąd co prędzej.

— Nie, Sybillo, to byłoby bezpożytecznem tchórzowstwem. Nie chcę uciekać, ani ukrywać się. Namyśliłem się dobrze nad moim losem i mogę go znosić. Wiem że ustały dla mnie stosunki towarzyskie, ale mogę się bez nich obejść. Niopuszczę Saint-Vincent, chybaby mnie konieczność zmusiła. Zresztą będę tu jak w zaczarowanym ogrodzie Armidy.

Ale życie jakie Dermot malował swojej młodej żonie—życie miłości i bezczynności—nie miało dla niej powabu.

— Sam się łudzisz! — zawołała — sam się krzywdzisz. Takie życie niegodne ciebie i wkrótre czułbyś się nieszęśliwym.

— Biedna Armido!—rzekł czule—chcesz żeby twój oczarowany rycerz był znowu dzielnym i silnym — a on nigdy już takim nie będzie;—życie ma już tylko jeden powab dla niego—miłość i młodą żonę—daj mu się tem cieszyć

Objął jej kibić i pochylił głowę na jej ramię, ale jak smutne były jego słowa.

Bądź co bądź, mimo wszelkie udawanie, stworzony był do czynu nie do spoczynku, a chociaż bez wątpienia kochał ją bardzo nie wyglądał wcale na człowieka mogącego się zadowolić samemi tylko domowemi przyjemnościami. Sybilla nalegała znowu, proponowała podróże, lub przesiedlenie się gdziekolwiek i rozpoczęcie nowego życia ale Dermot nieprzystawał.

— Co za potrzeba?—rzekł smutnie—chybabym dla ciebie to robił, ale swego losu nie uniknę. Prędzej czy później odkrytoby mnie tak, jak to i tu nastąpiło. Wolę usunąć się od świata i wyobrazić sobie że pierwszym jestem człowiekiem, że mi Bóg dał Ewę, która mnie nigdy nieskusi do grzechu — dodał z uśmiechem.

— Ale która cię dużo kosztowała — rzekła zmartwiona Sybilla. O, Edwardzie, jato podobno jestem przyczyną tego wszystkiego!

— Nie wszystkiego, ale znacznej części; może dla tego tym bardziej cię kocham — odpowiedział czule.

Odwróciła twarz żeby nie widział wruszenia radości, jakie w niej sprawiły te słowa. Ale widział dobrze. Wiedział że był również kochanym i że chociaż miło ść ta nie mogła zapełnić całego jego życia, miała tyle czaru że mogła złagodzić jego gorycze. Nawet w obec doznanego upokorzenia, szczęściem było posiadać przy sobie piękną młodą istotę i módz powidzieć sobie: Jakikolwiek los mój będzie, ona jest moją!

Ją jedną tylko uratował z wielkiego rozbicia w życiu. Spokój, nieposzlakowane imię, poważanie świata, wszystko zginęło; ale ona jedna mu pozostała!

ROZDZIAŁ XXIII.

Pnni Kennedy siedziała przy otwartem oknie swego pokoju, ponuro spoglądając na nadchodzącą burzę którą jej małżonek przepowiedział, a która zwolna zbierała się na zachodzie. Nie dbała o nią. Choćby zniweczyła całe Saint-Vincent, aż do ostatniego drzewa nicby to ją nieobchodziło. Minęło krótkie jej panowanie i blask fałszywy. Stary ogród na który patrzyła i cała posiadłość należał do jej nieprzyjaciela, któremu dokuczyła wprawdzie, ale sama mimo tego, musi się stąd oddalić. Tobyła jej słaba, a jego mocna strona — on był bogaty, a ona uboga. Gdzież ją teraz jej mąż poprowadzi? Jakie mieszkanie urządzi? Była w jego mocy, czuła to także. Jego gniew i wymówki nic ją nieobchodziły. Odkryto jej knowania przed Sybillą, i to tylko ją wstydziło, że wielbiąca ją niegdyś przyjaciołka widziała jej podłość.

Więcej jednak niż ten wstyd niewielki, przejmowała ją bojaźń ubóstwa. Na toż tylko wydobyła się z owego bagna nędzy ażeby w nie popaść na powrót? Jakże się będą lito wać nad nią, pani Ronald i jej cała klika! jakże będą ubolewać nad oszukaństwem jakiego Kennedy względem niej się dopuścił! Bo dostał ją tanio, bardzo tanio, wszystko rozważywszy: a chociaż surowo ukarała Dermota za grzech Kennedego, niezruciła jednak ciężaru z bark własnych—zresztą Pani Kennedy znała świat, lub przynajmniej sądziła że zna go dobrze. Czcił on mamonę, i nie wierzył w wysokie zasługi innego rodzaju.

— Nim pół roku upłynie — myślała sobie zniewysłowioną goryczą w sercu, — wszyscy będą się płaszczyć przed Sybillą i przed tym człowiekiem! Pani Ronald tak samo jak i inni. O! znam ich dobrze, znam te podłe kreatury! Niezapomniałam jeszcze jak gardzili Blanką Cains a umizgali się do pani Kennedy! Na cóż się zdała zemsta, kiedy im trzeba będzie ustąpić z Saint-Vincent?

Pani Kennedy! — odezwał się głos jej małżonka.

Słyszała jak wszedł, ale nie raczyła się odwrócić. Gdy zaczął mówić spojrzała nań obojętnie i znowu odwróciła się do okna.

— Pani Kennedy, — rzekł ostrym tonem, proszę żebyś się zapakowała i była gotową. Niemyślisz przecie nocy przepędzić w domu pana Dermota!

Zadrasnął ją tak jak chciał tego, ale przemilczała to wzgardliwie.

— Nająłem dom w Saint-Vincent — mówił dalaj—stoi gotów.

— Dom w Saint-Vincent! może raczysz mi powiedzieć w którym miejscu?

— Przy ulicy Wielkiéj.

W oczach pani Kennedy gniew zabłysnął. Nie było ani jednego porządnego domu przy Wielkiéj ulicy. Wiedziała o tem. Czyż jéj małżonek myślał ją osadzić w jednem z tych lichych mieszkanek, z wązkiemi drzwiami niskim pułapem i posępnemi oknami? Na to za niego wychodziła? Miałaż stać się przed miotem śmiechu całego Saint-Vincent?

— Mój panie, rzekła wstając i patrząc

---

rodziny — sprawa taka nie miała znaleść współczucia? Posiedzenie zamkniętem zostało przemówieniem rzeczywistego radcy stanu Wieczorkowskiego.

* * *

W czerwcowym zeszycie *Biblijoteki Warszawskiéj* p. *Cypryjan Walewski* podał ciekawy artykuł o *Janie Łaskim* mało u nas znanym reformatorze kościoła w wieku XVI. Korzystając z niedostępnych dla wielu, druków i wydania dzieł Łaskiego w Amszterdamie przez *Kuypera* w ostatnich czasach (od roku 1866) przedstawił nam p. W. żywot pełen przygód człowieka, który z księdza katolickiego i kanonika gnieźnieńskiego został reformatorem kościołów w Belgii, Anglii, Niemczech, Polsce. Krótki to był zawód (1542—1560) ale pełen burz i niepokojów. Umysł nadzwyczaj ruchliwy, żądny samodzielności, nieukrócony żadnemi nieszczęściami, nie chciał się poddać pod niczyją powagę, nie zgadzał się ani z Lutrem ani z Kalwinem ani z Papieżem, wszędzie występował jakby nowy posłaniec boży, ostro przed wszystkimi wygłaszał to, co za prawdę uważał. Słowem co do charakteru wiele ma podobieństwa z burzliwym Stanisławem Orzechowskim. Co do jego przekonań, to nic poszczególnie nie wymienia p. W. i to stanowi słabą stronę téj pracy. A przecież nazywając p. Łaskiego reformatorem kościoła, kładąc nacisk na różnice, jakie pomiędy nim a wszystkiemi spółczesnemi reformatorami zachodziły; powinienby był te różnice bliżéj określić. Nie zrobił tego p. W.—a szkoda. Nie łatwo znajdzie się człowiek, któryby chciał poświęcić czas na mozolne wczytywanie się w folijowe dzieła nie mające dla nas téj doniosłości co wswoim czasie; i nie będziemy mogli naznaczyć Łaskiemu właściwego miejsca w rozwojn umysłowości naszego narodu. Praca atoli taka jest konieczną, jeżeli tylko na seryjo zechcemy zbadać rozwój pojęć u nas i mieć samowiedzę tego cośmy w przeszłości zrobili. Pożądanem byłoby, ażeby p. W. robiąc odbitkę z Biblijoteki uzupełnił swą pracę wskazaniem najgłówniejszych przynajmniéj różnic, jakie Łaskiego od innych dzieliły, gdyż bez tego rozprawa jego będzie tylko materyjałem cennym wprawdzie ale tylko materyjałem.

* * *

Szczere zamiłowanie raz obranego zawodu i niezrażanie się mężne nieprzyjaznemi wpływami—godne jest uznania w każdym razie a tém więcéj w takim, gdzie idzie o oświatę i dobrobyt ludu. Przykład podobny daje niezmordowany pracownik, na niwie piśmiennictma polskiego w Szląsku Austryjackim *Paweł Stalcmah*. Korespondent „Niwy“ (Nr. 16) podaje o nim kilka szczegółów, które tu powtórzyć uważamy sobie za obowiązek. Początkowo był on spółpracownikiem *Tygodnika*, który wydawał Dr. *Klucki*, adwokat cieszyński. Przy tem piśmie wychodził co miesiąc *Przegląd polityczny* a potem *Miesięczny przegląd*. Kiedy jednakże stan finansów coraz więcéj się pogorszał i kiedy Dr. Klucki cofnął zapomogę pieniężną, Stalmach od r. 1850 podjął wydawnictwo „*Gwiazdki Cieszyńskiéj*,“ i pomimo braku pieniędzy, pomimo przeszkód przez Giermanów pismu polskiemu stawianych wytrwale prowadzi ją do dziś dnia. Spółpracowników nie ma; sam wszystkiemu wystarczyć musi; zarówno trudni się redaktorstwem jak i przyklejaniem adresów. Stalmach jest synem ludu, wszystkiemi więc siłami stara się o podniesienie oświaty i moralności wśród swoich ziomków. Stronnictwo niemieckie stawia mu przeszkody. Przed czterema laty zaczęło wydawać „*Szląskie nowiny*,“ w których starało się przeprowadzać swoje idee w języku zepsutym, pełnym germanizmów. Lud jednakże poznał się na farbowanych lisach i wydawcy musieli swoich propagatorskich myśli zaniechać. Oprócz Gwiazdki wychodzi w Cieszynie jak wiadomo, organ religijny ewangielicki p. n. „*Zwiastun ewangeliczny*.

się na niego—niechcę mieszkać w domu przy Wielkiéj ulicy.

— Będziesz—odpowiedział.

— Ciekawam jak mnie zmusisz?

— Ciekawym jak unikniesz tego?

Wymienili groźne spojrzenie. On zaczął pierwszy mówić:

— Bądź gotową — powtórzył — i nie rób już nigdy takich głupstw jak dzisiejsze. Dermot jak był, tak będzie zawsze górą! A chociaż wiem, że chce cię oszczędzać przez przyjaźń dla mnie, nie doświadczaj go częściéj. Nie fałszuj listów i nie pisz bezimiennych. Wiedz że jesteś w jego mocy.

— W jego mocy! powtórzyła z niewysłowioną wzgardą. W jego mocy!

Nagle przypomniały jéj się sześć numerów *Moonagh Herald*, i zwróciła się do męża z błyskiem tryumfu w oczach.

— Zbyt jesteś łaskaw—rzekła—ale sądzę że ponieważ *Moonagh Herald* nie jest ani sfałszowanym, ani bezimiennym listem, to jestem zabezpieczona od zemsty pana Dermota.

Zbladł jak śmierć, błędnym wzrokiem spoglądał po pokoju. Blanka w głos się roześmiała.

— O, nie szukaj po biurku—rzekła kiwając głową z ironicznym tryumfem—gazety te zabezpieczone—zupełnie zabezpieczone, mój panie.

— Zabezpieczone!—powtórzył—o „na miłość Boską“ Blanko, daj mi je!—daj mi je!

— O, zupełnie bezpieczne—rzekła bezlitośnie—porobiłam z nich podarki dziś po południu.

Poczucie klęski, przeważyło poczucie gniewu. Patrzał na nią w nieméj boleści, tak, iż to ją nareszcie zastanowiło. Spostrzegła, że zrobiła coś strasznego; że jest jakaś przepaść otwarta pod jéj nogami, w którą wpaść musi i zginąć. Zbladła i zadrżała.

— Jeden numer został — rzekła słabym głosem i wyjęła opieczętowaną kopertę z kieszeni. Wzięła pięć tylko.

Jeden został a pięć poszło w świat! Jeden! Cóż mu po nim? Dość było jednego dla jego zguby, a ona rozdała pięć dziś po południu! Patrzyła na niego, gdy tak stał blady jak duch—i milczący, aż zaczęła tupać z wściekłości.

— Nie możesz mówić co się stało? zawołała—mów, powiadam mów. (*D. c. n.*)

ĆWICZENIA SZKOLNE,

dzieciom do odrabiania w domu zadawane.

„Ach! mój Boże, wyrzekała jedna matka— co też to moje dziecko napracować się musi w téj nieznośnej szkole... Ono biedactwo, i zjeść nie ma kiedy — i jeszcze wszystkiemu podołać nie może!“ Mój znów syn, odezwał się pewien ojciec, rzadko kiedy w domu co robi. Nauczyciel widać zamało mu zadaje — muszę ja w to wejrzyć!“ „Co ja też za nieszczęśliwa, z tą utrapioną nauką—żaliła się inna znów matka, nie ma dnia, żeby mój Janek nie przyszedł mnie prosić o dopomożenie mu w zadanych lekcyjach, ale cóż ja poradzę, kiedy sama ledwo piąte przez dziesiąte z tego wszystkiego zrozumieć mogę — a on tymczasem płacze i płacze bez końca“... Możeby to i warto zastanowić się nad temi wszystkiemi skargami?... Wpierw jednak zrobię jeszcze jedno zapytanie. Czy trzeba zadawać dzieciom lekcyje do odrabiania w domu? Na to odpowiem z doświadczenia: trzeba. Są bowiem rzeczy, których w szkole załatwić nie podobna. Wszelkie np. pamięciowe zadania jako to: wiersze, rozmówki, ćwiczenia zwłaszcza te, które wymagają wprawy jak: rachunki, czytanie, pisanie, rysowanie i t. d. W tych koniecznie dzieci w domu ćwiczyć się powinny. Jeżeli zaś w domu nie mogą, to trzeba tak urządzić, jak to robią w Lipsku. W godzinach wolnych od wykładów, zbierają się dzieci u nauczyciela, i pod jego dozorem przysposabiają się na dzień następny. Lepiéj jest wprawdzie, jeśli dziecko w domu sobie spokojnie pracuje, ale z drugiej znów strony dobrze, gdy w każdéj trudności, ma—że tak powiem, pod ręką nauczyciela—który mu wszystko ułatwić lub objaśnić może, że się przyzwyczaja do akuratności w pracy, i że tym sposobem oszczędza rodzicom mozołu lub zmartwienia. Dobre i pilne dziecko—i w domu prócz tego pracuje, jeśli się je tylko umie zachęcić i zamiłowanie do pracy obudzić. Lecz słówko jeszcze—co do saméj nauki.

Trudno zaprzeczyć, iż nieraz nad siły dziecka wymagają. Każą mu np. pięćdziesiąt razy napisać jakie suche zdanie — albo zadadzą jaki łokciowy przykład z miljonami i biljonami do zrachowania—to znowu z 5 lub 6 stronnic z książki przepisać każą — albo kilkanaście i więcéj trudnych wierszy nauczyć się na pamięć. Nie jestże to nad siły dziecka? A chociażby nawet było z pewną korzyścią w postępie jego naukowym, to zawsze wielką wyrządza mu krzywdę; bo przykuwając je niejako do roboczego stołu—powstrzymuje rozwój sił jego żywotnych i usposabia do suchot. Często rodzi się stąd w dziecku zniechęcenie, nauka zdaje mu się obmierzłą a los jego nieznośnym. Dziecię przesycone i obciążone nauką—traci świeżość i swobodę umysłu.

Gdy się zastanowimy nad ćwiczeniami stylowemi przez szkołę dziecku do odrobienia w domu zadawanemi, to przekonamy się łatwo, iż głównie szkoły jest winą, gdy dziecię nie wywiąże się z zadania należycie. Bo jakże inaczéj być może, skoro zadanie przechodzi jego siły; gdy mu go nie objaśniono, nie ulatwiono dostatecznie; gdy biedactwo tylko jak przeze mgłę widzi i jakby po omacku postępować musi—zamiast pełnym wzrokiem ogarnąć przedmiot mu wskazany? Tym gorzej jeśli zadanie wybiega po za sferę życia dziecinnego i pojęć dziecięcych, i gdy ono z trudnością tylko i z mozołem wątek jego uchwycić zdoła. Albo wreszcie, gdy przechodzi wiek i zdolności dziecka. Ten ostatni przypadek łatwo zdarzyć się może, ponieważ nie każdemu uczniowi z osobna, lecz całej klassie jeden się temat zadaje. Mniéj jeszcze szkodliwém jest, gdy zadanie jest zbyt długie—niż — gdy jest zatrudne. [1]) Trudności odstręczają dziecko —odbierają mu humor i odwagę—i zmuszają do szukania ucieczki w wykrętach i wybiegach różnego rodzaju. Ten zaś brak odwagi i wiary we własne siły, ta utorowana droga do podstępów, kłamstwa i lenistwa — stają się przepaścią moralną dla obyczajów dziecka i zwichnąć mogą charakter jego na zawsze.

Wreszcie co do treści, mogą jeszcze być zadania suche—martwe, że tak powiem; co również złe wydaje skutki. Jeśli w wypracowaniach szukamy korzyści—to trzeba, żeby je dziecko odrabiało z radością i z zajęciem. A skoro przedmiot zadania nie ma w sobie żadnego powabu, nie przynęca go niejako, skądże się weźmie ochota do pracy? Umysł dziecięcia, to jakby źródełko, dla którego uśmiech i swoboda, stają się ową cudowną łaską, co je do wytrysku pobudza. Ani też można przypuścić; aby podobne zadania, jak tu poniżéj wymienione, obudzić mogły zajęcie i podnieść pilność dziecka. Co ono wysnuje z małéj główiny gdy mu każą np. napisać: „*O czém kwiatki rozmawiają z sobą — Poezyją wiosny — O zadowoleniu.—Pochwałę pilności.—Myśli przy krzaczku fijołków* — ułożyć powieść na temat *O zgodności* czyli *O stosunkach towarzyskich.— O znaczeniu piękna w naturze*, albo *O wpływie wychowania na cywilizacyją* i t. p.“ Oto są tematy—nad którémi biedne dziecko mózg wysuszyć może, zanim pojmie owe poetyckie uniesienia, o jakich większa część dzieci ani pojęcia nie ma i miéć nie może, albo stosunki, których jeszcze nie doświadczało. Prawią mu o *Zadowoleniu* o *Zgodności* i t. p. wyrazy, których znaczenie z trudnością umysł dziecka pojąć jest w stanie—a co będzie pisać—nad czém się rozwodzić? To też albo zniechęcone rzuci pióro, albo machinalnie i niechętnie— a bez związku powtórzy, co mu w pamięci z objaśnień nauczyciela pozostało.

Szkoły niemieckie starają się o ile możności pozbywać się złego. Nie przeciążają dzieci nauką—i o to też rodzice nie powinni się gniewać. Starają się one wszelkie zadawane wypracowania ułatwiać, przez opowiadanie bardzo szczegółowe i powtarzane póty—póki się nie przekonają, że każde dziecko, wyjąwszy już chyba całkiem słabe, mało tylko błędów popełnić może — albo nawet wcale bez błędu, będzie w stanie zadane mu ćwiczenie napisać. Niekiedy tylko, świeżo jaki przybyły z uniwersytetu teolog, zapędzi się zbytecznie w zadaniach, bezwzględnie na siły i usposobienie dziecka. Za co też niezawodnie — jak mówi znany lipski pedagog w poczet chciwych krwi żarłocznych okrutników zaliczony zostanie i całe kajety ze swojemi trudnemi zadaniami, czerwonym atramentem zalewać będzie. Dzisiejsze szkoły wybierają na zadania przedmioty żywotne i czynią niejedno, ażeby obudzić prawdziwe uczucie honoru i gorliwość podsycić. W niektórych szkołach wypracowania odczytują — w innych podług wypracowań usadzają uczniów. Tak robią w lipskiém mięszaném gimnazyjum. Gdzieindziéj znów, najlepsze wypracowania wpisują w osobną, umyślnie do tego przyrządzoną książkę—lub do czytania w czasie popisu przeznaczają. Wiem nawet o takiéj szkole, gdzie premia wyznaczano za napisanie najlepszego wypracowania. Lecz wszystko to rozbudza tylko chęć góro-

[1]) Wszystkie te zasady uwzględniał szanowny nasz profesor matematyki, oraz zwierzchnik szkół rządowych Kazimierz Rogiński, który, wykładając matematykę w klasach wyższych szkoł. wyż. żeń. rząd. w Warszawie, przedewszystkiém starał się zbadać usposobienie każdéj uczennicy—i podług tego z nią postępować. Gdy zaś nadchodził czas dawania stopni, wtedy wszystkie słabsze uczennice zapraszał do 1-széj ławki, mocniejsze wzywał do tablicy—a tamtym kazał uważać. Po rozwiązaniu kwestyi przez zdolną uczennicę, coraz to jednę ze słabszych zagadnął, a nawet pozwolił odezwać się téj, która jeszcze potrzebowała jakiego objaśnienia lub już zaczynała rzecz rozumieć—i czynił to przez kilka lekcyj póty—póki się nie przekonał, że każda pojęła o co rzecz idzie—i póki sam nie zbadał, ile każda pracować musi, by otrzymać korzyść wymaganą; wtedy dopiéro dawał stopień, który musiał być sprawiedliwy, zwłaszcza, że go kreśliła prawdziwie ojcowska ręka. Gdyby w podobny sposób od najpierwszéj chwili rozpoczęcia nauki rachunków postępowano, to jest: gdyby umiano korzystać z przedmiotu, który tak bardzo wpłynąć może na rozwój zdolności umysłowych, z jednéj strony oszczędzono by dzieciom zbytecznéj pracy po za szkołą, a z drugiéj, jakże wiele zyskałaby na tém władza rozmysłu i porządnego myślenia, która przytępić się musi, gdy dziecko niezrozumiane przykłady, lub nieprzystępne dlań tematy zabiera z sobą do domu i najczęściéj zmuszone jest wyręczać się starszym bratem lub korepetytorem. (*Przyp. Tłom.*).

wania lub chciwość i do nizkiego sposobu myślenia prowadzi. Najlepszym bodźcem w gorliwości powinno być zajęcie, które z samego przedmiotu wypływa. I niebezzasadnie mówi *Stoy*, w swojém pisemku p. t. „*Dom rodzicielski i mowa ojczysta*" Chcąc rozbudzić prawdziwe i nienarzucone, nieumyślne zajęcie, trzeba nadzwyczaj roztropnie i nieznacznie brać się do rzeczy. Młodzież nawet spostrzedz nie powinna—ani się domyśléć, kiedy i jakim sposobem wpływają na nią. Jeżeli zaś zysk spodziewany, wyższe miejsce i t. p. zachęcają do uwagi, pilności i pracowitości, to winą jest wychowującego nauczyciela, który że tak się wyrażę, wpada w stan niechrześcijańskiéj ciemnoty. Następstwa stąd są smutne. Sztucznie podbudzona ochota ginie natychmiast, gdy zabraknie przynęty; a owocem środków tego rodzaju są: owe mdłe, samolubne i niskie natury". Ażeby słowa te zbyt ostre nie sprawdziły się, powinna szkoła i przy usadowianiu uczniów, być bardzo strożną. [3])

Mimo jednak największe ostrożności—mimo wszelkie usiłowania i pomoce ze strony szkoły, niepodobna jest ażeby zadawane lekcyje do usposobień wszystkich uczniów odpowiednio zastosowane były. Jednym będzie zadużo—drugim zatrudne—innym znowu zamało. Szkoła tak musi zadawać, jak tego kurs przedmiotu wymaga,—a w klasie, gdzie jest kilkudziesięciu uczniów, do większości stosować się wypada. Żeby do każdego ucznia z osobna, jak tego indywidualność jego wymaga stosowano się, tego ani podobna radzić, bo to niemożebne. W każdym jednak razie, dom w pomoc szkole przychodzić powinien; a dziecko, ktore zbyt prędko i z łatwością odrabia zadania, starać się w dalszym ciągu czemś zajmować. Tysiączne są sposoby rozwijania zdolności dziecka: niech tylko weźmie do ręki odpowiednią książkę, niech się wprawia w pisanie lub rysunek; albo wreszcie jakie mechaniczne dać mu zajęcie. Skoro znów zadane dziecku lekcyje, wydają mu się zatrudne: to widać, że pojęcia jego są zbyt słabe, nierozwinięte; że nie było w stanie iść myślą za rozbiorem, wykładu, bo jest roztargnione i roztrzepane, nieprzytomne lub niedbałe z usposobienia; w takich razach, świętym jest obowiązkiem rodziców porozumiéć się z nauczycielem. Zna on wprawdzie poczęści słabą dziecka stronę, ale niezawsze może wiedzieć, ile czasu ono potrzebuje do odrobienia swoich zadań — czy mu to łatwo czy trudno przychodzi, czy potrzebuje pomocy lub nie. A jednak nauczyciel powinien wiedzieć o wszystkiém, jeśli chce być sprawiedliwym; jeżeli prawdziwie dba o postęp dziecka, chce mu go szczerze ułatwić i istotnie przyjść w pomoc. Przez rozsądne wzięcie się do rzeczy, czasem wiele niedorzeczności i niesnasek usunąć można.

[2]) Wyznaczanie miejsc pierwszych w ławkach za zdolność i pilność jest bezzasadne, i więcéj robi złego, niż dobrego. W dzieciach podsyca zarozumiałość, a nauczyciela między innemi, pobudza do lekceważenia obowiązków; zwłaszcza jeżeli z natury już nie jest sumienny i gorliwy; gdy nim nie kieruje miłość dzieci, ani zamiłowanie tego rzeczywiście trudnego i mozolnego nauczycielskiego stanu, co tym łatwiéj ma miejsce: jeśli go tylko zbieg okoliczności, a nie prawdziwe powołanie, do wyboru tego zawodu skłoniło. Zwierzchność powinna to wszystko przewidzieć: przypatrywać się z daleka, badać, śledzić—i dobro powierzonych sobie dzieci, na pierwszym mieć względzie. Rozsądne zaś i trafne wzięcie się do rzeczy, wszelkiemu złemu zapobiedz, a przynajmniéj o wiele zmniejszyć je może, nie naruszając powagi nauczyciela, o którą dbać należy. A trudno znowu o tak złego człowieka, któryby chciał rozmyślnie krzywdę dzieciom wyrządzać i siebie narażać. Sadzając uczniów czy uczennice odznaczające się na pierwszych miejscach, mimowolnie więcéj na nie zwracamy uwagi, popisujemy się niemi, za wzór dajemy drugim; gdy tymczasem zimno rzeczy biorąc, ani nam, ani im nagroda się nie należy. My popisujemy się częstokroć tém, co nie naszą jest zasługą, a dzieci nagradzamy za to, że nie napotykając trudności, pełnią swój obowiązek. Mnie się zdaje, a mówię to z doświadczenia — że właśnie dzieci młodsze, mniéj uzdolnione i wątłéj budowy a nawet mniéj pilne, roztargnione i swawolne, bliżéj zawsze nauczyciela sadzać należy. Ażeby ich nie zrażać, nie odstręczać, nie gnębić — ale owszem przekonywać, że wszelkiemi siłami pragniemy ich dobra; iż nie o to nam idzie, aby je poniżać, porównywając z temi, które na nagrodę zasługują, ale — że i o nich nie wątpimy: że i im chcemy dopomódz aby również i one, pracą, pilnością i staraniem, na pochwałę zasłużyć mogły. Nie należy znów nie uznawać wcale zasługi zdolnych a zarazem pilnych i starannych uczennic; owszem, tym dawać dowody zaufania, zalecając im, ażeby objaśniały i dopomagały w czem, która może słabszym koleżankom. Tym sposobem ułatwiać miły i przyjazny stosunek ich w pożyciu, przyzwyczajać do usłużności i chętnéj pomocy dla drugich; budzić w nich przekonanie, że przez to i nam w pomoc przychodzą; że i nasze podzielają chęci; a same miły spełniają obowiązek... A obudzić w dzieciach poczucie obowiązku, jest to dojść do pożądanego celu w wychowaniu. Lecz broń nas Boże, taki znów robić użytek z wzorowych uczennic, jak się to zdarza niekiedy. Podoba się *np.* nauczycielce, siedząc na katedrze, zamiast wykład rozpocząć, przeczytać jaki pilny list ważny dla niéj, lub ustęp z jakiego dziennika; ażeby więc klasa, hałaśliwém zachowaniem się jéj nie przeszkadzała, lub nie ściągnęła uwagi zwierzchników; — wzorowe uczennice mają podnieść się w ławkach i patrzeć pilnie na całą klasę, oraz na kartce notować nazwiska tych, które się odważą przekroczyć zakaz. Wzorowa uczennica, im więcéj winnych przedstawi, tym więcéj ma zasługi a biada tym, co niechęć jéj na siebie ściągnęły. Jest to wyjątkowe postępowanie, ale niestety, niezmyślone. Dzięki Bogu, że wyjątki podobne są rzadkie! Bo w cóżby się obróciły obyczaje naszych dzieci? Złe tego rodzaju samo w sobie zwykle znajduje karę; — albowiem podobne postępowanie szacunku młodzieży nie wywoła. Wprawdzie miłość i bojaźń najłatwiéj w dzieciach obudzić. Lecz instynkt dziecięcy, jest sprawiedliwym sędzią. Dziecię mimowolnie i bezwiednie ocenia chęci i zasługi nasze. Dla tego też z wielką rozwagą i uczciwością postępować należy. Rozumnie i z miłością brać się do dzieła. Nie znacznie a wytrwale dążyć do celu—a prędzéj czy późniéj, doczekamy się owocu naszéj pracy.

(*Przyp. Tłom.*).

ZAPISKI

z podróży po Europie,

PRZEZ

J. Gordona.

(*Ciąg dalszy*).

Przed kilkunastu laty nieprzypuszczano tam jeszcze, że skupienie wszystkich wyznań w jeden kościół powszechny stanie się dążnością, a ogarnięcie tą unją duchową wszystkich plemion i wszystkich ludów, będzie może kiedyś, po tysiącach lat, dopełnieniem ostatecznych przeznaczeń rodu ludzkiego.

Dziś atoli cywilizacyja niemiecka zatarła tam nieco oryginalność typu dawniejszego Żydów, pomimo to jednak uderza każdego przybysza w obecnym pięknym Frankfurcie, w tej rezydencyi bogatych kupców i rodziny Rotszyldów, otoczonej ogrodem angielskim, wązki przesmyk, długi, posępny, zapowietrzony, z okopconemi drewnianemi domami, wspartemi jeden na drugiem m wysokich spiczastych dachach, gdzie w dzień szabasu drzwi i okienice są pozamykane i panuje cisza jak w grobie.

Obaczysz tam wtedy tylko przesuwającą się z domu do domu, podobną do sosny przybranej w perłową bindę starą Żydowicę w dziwacznym stroju, która ci za chwilę niknie, niby widmo, w sieni ciemnej jak piwnica.

Opowiadają, że na tej właśnie ulicy mieszkała matka baronów Rotszyldów. Winszuję, ale nie zazdroszczę!...

Opowiadają także, iż przed czterdziestu laty, ta ulica żydowska była opatrzoną na obu końcach żelaznemi bramami, i że tam wszystkich Izraelitów z miasta i z okolic spędzano na noc, a potem bramy zasuwano na rygle zewnątrz, jak gdyby z ostrożności od zadżumionych. Zamknięci zaś barykadowali się na wewnątrz, jak gdyby przez obawę nocnego szturmu nieprzyjaciół swoich.

Dziś ci nieprzyjaciele żyją zobopólnie w zgodzie, robiąc razem interesa pieniężne; a żydzi stali się tam finansową potęgą, usiłującą prowadzić na pasku współobywateli do swych celów... kto wie czy nie nazatracenie.

Ale zarówno oni z całym bankiem Rotszylda, ich naturalnego i niezaprzeczonego protektora, jak i mieszczaństwo frankfurckie, składające niegdyś patrycyjat miasta, tudzież potomkowie licznych rodzin francuzkich, które będąc tam na emigracyi przemysłem swoim i cywilizacyją stanęły na szczycie, towarzystwa niemieckiego; — cała ta ludność, niecierpiąca z duszy Prusaków, okazuje pewien rodzaj przychylności dla Austryi, bo ta przyczyniła się do jej dobrobytu.

Dom więc Habsburgów jest u tych wszystkich pokoleń okryty urokiem aureoli.

Oprócz powyżej wzmiankowanych ras, różniących się już to wyrazem twarzy, najwybitniej zdradzającym ich pochodzenie, już religią i mową, jeżeli chcesz ujrzeć przechowaną w czystości rasę Saksońską, przejdź most, postawiony przez Rzymian, na Menie, i rzuć okiem na przedmieście Saxenhausen, gdzie utrzymali typ swój i obyczaje koloniści saksońscy, osiedli tam za Karola Wielkiego.

Członkowie tej kolonii, żyjąc razem podobnie jak Francuzi we Fridrichsdorfie—i łącząc się tylko między sobą, zachowali także i surowość starożytnych Saksonów, która przy dzisiejszym postępie języka i oświaty ich sąsiadów, zakrawa na grubijaństwo.

Przedmieście Saxenhausen jakiem było z dawien dawna, takiem i dotąd pozostało, jak mumja przechowana pod kloszem.

Różne a zabawne krążą podania o jego mieszkańcach, w których atoli przebija się protestacyja słabego przeciw mocnemu. Zasługują one na wspomnienie:

I tak, gdy podczas wylewu Menu elektor heski w skromnem bardzo ubraniu, zjechał incognito na miejsce, aby się przekonać naocznie o zrządzonych szkodach, napotkał jednego z owych przedmieszczan i zagadał doń:

— A co przyjacielu, wszak Men coraz bardziej przybiera?

— Czyż tego sam nie widzisz gawronie, że się pytasz? — odrzekł spokojnie paląc fajkę Saksończyk.

Idąc dalej mieszczanin ów zdybuje starego kamrata, który powiada mu:

— Wieszże ty z kim rozmawiałeś?

— Nie wiem.

— Z samym elektorem.

— Tam do kata!... alem przynajmniej rad, że byłem dla niego grzeczny.

Inne zdarzenie miało miejsce w teatrze. Kupiec jakiś, wsparłszy się nieco na swoim rodaku z po za Menu, na jego opryskliwe obruszenie się zawołał:

— Przepraszam bardzo, żem może pana niechcący trącił.

A na to mu rodak z po za Menu:

— O, ba!.. gdybyś mię trącił, to trzasnąłbym cię w papę, ażby ci się prababka przyśniła.

Nikt z miejscowych za podobne komplimenta niegniewa się wcale, lecz uznając ich naiwność historyczną, przyjmuje je za dobrą monetę.

Wiadomo, że garnizon Frankfurtu składał się od r. 1815 aż do ostatnich czasów z dwóch opiekuńczych oddziałów: pruskiego i austryjackiego.

Otóż któryś z pruskich oficerów pokazywał swoim przyjaciołom przybyłym z Berlina ciekawości miasta.

Gdy wstąpili do starożytnej i wspaniałej budowli kościoła katedralnego, zakrystyjan Saksończyk, pokazując im złote serca, srebrne czaszki, ręce i nogi, pomiędzy innemi wotami ukazał także myszkę ulaną ze srebra.

— A to co znaczy? — zagadnął zdjęty ciekawością oficer.

— To znaczy, mój dobrodzieju—odpowiedział zakrystyjan — że grasowała tu swojego czasu plaga Boża.. okropna plaga! Miasto ujrzało się przepełnione na raz rojami żarłocznych myszy. Nic nie pomogły koty sprowadzone z okolic. Aż pewna pobożna dama przyniosła tę myszkę na ofiarę. I stało się, że wszystkie myszy wyniosły się stąd hurtem....

— Zabobony!... zabobony!... przerwał oficer. Trzeba być ograniczonym jak Frankfurtczycy, ażeby wierzyć w podobne gusła.

— My o nich mówimy — odrzekł zakrystyjan, ale w nie niewierzymy. Gdybyśmy wierzyli, już byśmy dawno ofiarowali Matce Boskiej srebrnego Prusaka.

Frankfurt zresztą jest miastem dla artysty przyjemnem, gdzie bankierzy, podobnie jak niegdyś kupcy genueńscy, na sztukach się znają, lubią je i opiekują się niemi. Rzadko grodu — nie mówiąc naturalnie o Włoszech, żeby posiadał więcej prywatnych zbiorów malarstwa i rzeźby. Jest to tam nawet modą, próżnością. Właściciele dozwalają każdemu wolnego wstępu do swoich galeryj, szczycąc się niemi.

Jedne z nich podpierają barkami balkony, i zdają się stękać, upadać pod gniotącem je brzemieniem. Innym ciężą na karkach całe wieże, łuki, i sześciopiętrowe gmachy; pomimo to miny mają dobre. A są i takie, które ukazują, jakby z przechwałką, jedno ramię wolne od ciężaru, grożąc w dodatku pięścią publiczności.

Przed hotelem Rzymskim obaczysz nawet na ulicy, kolosalnej wielkości cesarza rzymskiego, z jego wielką peruką, w szerokim płaszczu, siedzącego na tronie pod baldachinem.

Wnosić wypada, iż było w zwyczaju dawnych zbogaconych mieszczan wolnego miasta, opierać mury swoich roskosznych siedzib na karkach, już to z wyrazem cierpienia, już wesołych i drwiących sobie z przechodniów swojemi wydrzeźnieniami, bożków.

Gdyby te postacie ożyły, dałyby się one bezwątpienia więcej od Prusaków we znaki zepsutym zbytkiem mieszczanom Frankfurtu za tak niemiłosierne ich gnębienie.

Lecz jeżeli jesteś w tym malowniczym grodzie ludzkich figur, nie zapomnij zwiedzić marmurowego posągu Aryadny (własność prywatna), dłuta Danneckera, bo rzadko coś piękniejszego napotkasz w Europie. Nowoczesne rzeźbiarstwo nic zapewne godniejszego nie wydało, coby nam więcej nasuwało na pamięć klasyczne dzieła Greków.

Aryadna, owa niebezpieczna bachantka, jedzie na panterze, zadumana o niewdzięczności kochanka, z czołem ku słońcu podniesionem.

Postać ta świetlana porywa widza szczególniejszym wdziękiem swoim gdzieś w światy bajeczne.

Nie jest to przygnębiona niewiernością Tezeusza opuszczona dziewa, ale dumna córa królewska i żona bożka! Kto by ją znienacka obaczył w noc księżycową, padłby na kolana przed nią.

Pantera Aryadny znać boi się potęgi swej pani, gdyż kroczy powoli. Córka zaś Mimosa, zarzuciwszy na jej grzbiet nogę, w jednej ręce wspartej niedbale na karku posłusznego zwierza ma luźne wędzidło, a drugą przytrzymuje rozwianą na sobie, a leciuchną szatę.

Cała ta kompozycyja, będąca rzeczywistem arcydziełem, zasługuje na uwagę podróżników. (*D. c. n.*)

BIBLIJOTECZKA DOMOWA.

Rady dla młodych Polek z okoliczności pisania listów. Napisał *Stanisław Bratkowski*. Poznań. 1871, str. 96.

Jestto bardzo przystępnie napisana książka o sposobie pisania listów. Po określeniu co to jest list, po radzie, żeby pisać wyraźnie i dobrze tytułować, po wykazaniu celu i stylu listowego, robi autor niektóre spostrzeżenia gramatyczne nie zawsze dokładne np. co do użycia *który* i *jaki*. „Ile razy jest mowa o istotach żyjących używa się zaimka *który*, w nieżywotnych zaś lepiej używać zaimka *jaki*“. Podług tego dobrzeby było mówić: Dom, *jaki* widziałeś należy do mego ojca i t. p. Toż samo można powiedzieć co do użycia słowa z twierdzeniem i przeczeniem pod względem zamiany trybów (str. 8). co do zakończenia rzeczowników i przymiotników (*dumni panowie* i *dumne pany*) i t. p. Jako najgłówniejsze wady stylu listowego wytyka autor przesadę i cudzoziemczyznę, nie mówiąc nic o dosyć często zdarzającej się trywijalności. Wyliczenie kilku rodzajów listu (pocieszające. polecające, z prośbą, z podziękowaniem, z powinszowaniem, z poradą, z doniesieniem, w interesie, bilet i list poufały) zajmuje większą połowę książeczki (str. 18—58). Poczem idą uwagi „o niebezpieczeństwie rozpisywania się z własnemi uczuciami i ze *zdaniem o drugich*“, gdzie autor odradza panienkom wydawać sąd o ludziach, gdyż ten zwykle jest powierzchowny, lekkomyślny a nawet (*!*) złośliwy). Jakikolwiek on jest, to przecież lepiej zdaniem naszem gdy go wypowie, aniżeli gdy w głębi własnej duszy skryje. Jeżeli jej to narobi nieprzyjemności, to na drugi raz wystrzegać się będzie sądu zbyt pospiesznego; ale odwodzić od wyrabiania sobie zdania i wypowiadania go nie wypada. Wzory z listu p. *Maintenon* do siostrzenicy, dalej z listów Krystyny z Sanguszków *Bielińskiej* i z bezimiennych *matki* i *córki* kończą zbiorek. Szkoda, że w przykładach napotykamy błędy językowe: np. „*będzie umiał zrozumieć*“ (22) „*zanim puścić w świat*“ (93) i t. p. Dodać jeszcze należy że ś. p. Bratkowski jako emigrant, znał literaturę polską tylko po rok 1829, do czego w przypisku sam się przyznaje. Zacne myśli, ktoremi całe dziełko jest przejęte, okupują po części powyżej wskazane usterki. *P. Ch.*

ROZMAITOŚCI.

Na powszechnej wystawie Wiedeńskiej mającej się odbyć w r. przyszłym utworzony będzie osobny oddział: **„pawilon małego dziecięcia“** gdzie zwiedzający znajdą dokładny obraz życia, wzrastania, rozwijania się, zabaw gier i pierwszych nauk i t. d. W tym pawilonie będzie nadto urządzonych kilka sal dziecinnych podług zwyczajów i obyczajów różnych narodów.

* * *

Komedyja Fredry „Śluby Panieńskie“, została przełożoną na język czeski przez M. Vavra.

Od Redakcyi.

Opiekun Domowy wychodzić będzie nadal w tym samym zakresie i kierunku, o ile takowy w kilkunastu wyszłych pod naszą redakcyją numerach zdołaliśmy rozwinąć i wykazać. Pomimo najgorszych materyjalnych warunków w jakich znaleźliśmy pismo, postanowiliśmy nie szczędzić pracy i kosztów — w głębokiem przeświadczeniu o potrzebie organu, któryby dotykając najbliżéj nas obchodzących spraw rodziny i społeczeństwa, umiał obok postępowéj dążności, uszanować racyjonalnie pojętą tradycyję i był jednocześnie ogniwem wiążącem w pracy dwa następujące po sobie pokolenia, wspólnością zadań i celów. Komitet Redakcyjny dołoży wszelkich starań, ażeby pismo nie tylko ożywić i poczytniejszem uczynić—ale zarazem nadać mu trwałą, rzeczywistą wartość. Wzrastająca liczba prenumeratorów, utwierdza nas w przekonaniu, że praca nasza może się stać pożyteczną i że liczne ulepszenia, jakie w myśl przyjętego rodzinno-pedagogicznego kierunku, tak w samem piśmie, jak i w szeregu lżejszych i poważniejszych wydawnictw przeprowadzić zamierzamy — zyskają, jak o tem nie wątpimy, gorące poparcie czytelników, zgodnie z nami pojmujących ważność zadań, którym postanowiliśmy służyć rozważnie a wytrwale.

Prenumerata Opiekuna Domowego wynosi:

W Warszawie:

Kwartalnie: . . **Kop. 75**
Miesięcznie: . . „ **25**

Na prowincyi:

Kwartalnie: . . **Rs. 1 kop. 20**

☞ Do dzisiejszego numeru dołącza się dla nowych PP. Prenumeratorów początek powieści p. t. **„Dziesięcioletnia podróż po Wschodzie.“**

Дозволено Цензурою. —W drukarni Jana Jaworskiego, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawca, Wacław Szaniawski. Redaktor, Henryk Perzyński.

☞ Patrz Dodatek